

Stanisław Komornicki

NA BARYKADACH WARSZAWY

Pamiętnik podchorążego Nałęcz

Wydawca
Bożena Kućmierowska

Redakcja merytoryczna i korekty
Maciej Chojnowski

Redakcja techniczna
Danuta Przymanowska-Boniuk

Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie typograficzne
Janusz Fajto

Copyright © by Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.

Copyright © by Tomasz Komornicki

Copyright © by Wojciech Surdziel/AGENCJA GAZETA

(zdjęcie Autora strona 335)

Warszawa 2014

Wydanie I w tej edycji
(wcześniej: Wydawnictwo MON I–VI, Oficyna Wydawnicza RYTM VII)

Wszelkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie, przedrukowywanie i rozpowszechnianie w całości lub we fragmentach jakąkolwiek techniką bez pisemnej zgody wydawcy zabronione

ISBN 978-83-7963-012-7

ISBN 978-83-7963-013-4 (e-book)

Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.

00-696 Warszawa

ul. J. Pankiewicza 3

www.wydawnictwosedno.pl

info@wydawnictwosedno.pl

Zamiast przedmowy

Gdy zapytałem kiedyś ojca, co, jego zdaniem, przyniosło książce *Na barykadach Warszawy* tak wielką popularność, odpowiedział bez wahania, że przyczyną był czas, kiedy powstała. Z uwagi na blokadę ze strony cenzury pierwsze wydanie pochodzi dopiero z 1964 roku. W rzeczywistości jednak Stanisław Komornicki napisał pierwsze fragmenty *Barykad* niedługo po wojnie, mając zaledwie 22 lata. To spowodowało, że książka była zapisem świeżym i autentycznie emocjonalnym. Również dzięki temu stała się ona relacją wolną od wszystkich późniejszych sporów i dyskusji, wolną od „perspektywy historycznej”, której trudno było uniknąć autorom spisującym swe wspomnienia po kilkudziesięciu latach. *Na barykadach Warszawy* to zatem prawdziwa historia młodych ludzi opisana niemal na gorąco przez jednego z nich, to, jak sądzę, jeden z najwcześniejszych i chyba najbardziej klasycznych pamiętników powstańczych.

Realistyczny opis spowodował, że dla wielu czytelników pierwszych wydań książki postaci opisane w *Na barykadach Warszawy* stały się bohaterami kojarzonymi niemal automatycznie z historią powstańczej Starówki. Do dziś zdarza mi się spotykać osoby, które po przywołaniu tytułu odtwarzają z pamięci pseudonimy i powstańcze losy Tarzana lub Małego Henia. Dla mnie jako syna autora ci spośród bohaterów, którzy przeżyli wojnę, byli również realnymi ludźmi, których znałem od dzieciństwa. Reprezentowali bardzo różne światy, często odległe od tego, w jakim się wychowywałem, a jednocześnie nigdy nie miałem wątpliwości, że dla ojca stanowią oni jakby drugą rodzinę. Tak ich traktował i tak oni traktowali jego. Zdarzało się, że przychodzili niespodziewanie

po pomoc. Kiedy indziej, jako przedstawiciele najróżniejszych zawodów, to oni udzielali naszej rodzinie pomocy w wyzwaniach PRL-owskiej codzienności. Ich, niewielka już, grupa pod sztandarem zgrupowania „Róg” odprowadzała ojca na warszawskie Powązki po tym, gdy 10 kwietnia 2010 roku zginął w katastrofie pod Smoleńskiem. Myślę, że to właśnie tym najbliższym, żyjącym i nieżyjącym przyjaciółom z powstania, chciałby on zadedykować kolejne wydanie *Na barykadach Warszawy*.

Obecna, ósma już edycja książki zbiega się z 70. rocznicą powstania warszawskiego. Jest zarazem pierwszą, jaka ma miejsce po tragicznej śmierci autora. Wspólnie z Wydawcą zdecydowałem, aby w tekście nie dokonywać żadnych zmian. Dotyczy to także posłowania zatytułowanego „Od autora”, w którym ojciec opisuje dalsze losy niektórych bohaterów z perspektywy lat 60. ubiegłego wieku. Do uzupełniania tych historii nie czułem się kompetentny. Do książki dodano natomiast krótką notę biograficzną Stanisława Komornickiego. Lektura tego biogramu uzmysławia nam, jak bardzo i jak długo powstanie warszawskie ciążyło na życiorysach jego uczestników...

Tomasz Komornicki



...przybrzeżny wir pochwycił mnie, obrócił kilka razy i cisnął w sam środek rozmigotanego łunami nurtu. Usta nappełnił mdły smak wody. Terkot karabinów maszynowych i wybuchy pocisków stały się dalekim, nieważnym wspomnieniem.

Jak każdy słaby pływak na próżno staram się opanować ruchy gwałtowne i chaotyczne. Serce wali młotem, a w uszach zamiast trzasków detonacji huczą teraz dzwony.

Uwiązana na pasie kabura ciąży dokuczliwie. Wreszcie biorę się w karby. Spokojnie, powtarzam sobie, spokojnie! Raz – dwa, raz – dwa...

Na warszawskim brzegu łuny pożarów – praski (wtłoczony w czerń nocy) błyska wybuchami. Chcę płynąć w tę czerń. Nada remnie. Nurt niesie mnie jak resztkę rozmytej powodzią zagrody. Jestem już tylko bezwolnym, zmieszanym z brudną pianą, żalonym świadectwom tragedii.

Ciemne filary mostu Poniatowskiego są teraz o wiele bliżej. Choć z trudem, utrzymuję się na powierzchni – i to nappełnia nadzieją. Wiem, że pod praskim brzegiem jest mielizna. Byle tylko wydostać się z nurtu. Kilka gwałtowniejszych zrywów, zapadam w głębię, kropelki wody przenikają do płuc, rozsadzają je. Rytmiczne ruchy zamieniły się znowu w rozpaczliwe szamotanie. Utrzymać się na powierzchni, nie dać się pogrążyć falom. Ręce i nogi kostnieją, wzdłuż grzbietu czuję jakby iskry elektryczne. Narasta uczucie rezygnacji...

Nagle tuż przy mnie plaśnięcie... drugie, trzecie – zupełnie jakby ktoś puszczał kaczki.

Spokojnie, spokojnie... Strach rozprzegający nerwy to podstępny wróg. Tuż obok czyha jednak drugi, groźniejszy – apatia i załamanie. Jakże ciąży kabura z pistoletem. Jak szybko ucieka czas. Znów te plaśnięcia. Strzelają. Czy to ma jakieś znaczenie?

Woda jest coraz cieplejsza. Zimno przestało dokuczać. Poruszam się wolno, jak w gęstej, kleistej mazi. Nogi coraz bardziej ciążyą do dna. Pograżam się. Jeszcze tylko ostatni haust powietrza. Powierzchnia wody zamknęła się nade mną. W płucach ucisk. Głowa pęka z bólu, w skroniach okropny szum. Za chwilę to wszystko skończy się. Za chwilę będę topielcem wleczonym wśród mułu po dnie Wisły. Tak więc wygląda koniec...

Dno. Dotknąłem nogami dna.

Nie! Muszę żyć! Trzeba płynąć, trzeba walczyć. Mocne odbicie i znów jestem na powierzchni.

Czy to już praski brzeg, czy przypadkowa płycizna? Nogi mam chyba z ołowiu. Znów idę na dno. Rozpaczliwe ruchy rękami. Stopy dotykają dna, a głowa jest przecież na powierzchni. To przybrzeżna mielizna. Staram się iść po dnie. Prąd wody wyrzywa spod palców piasek. Nurt znosi znów na głębiej...

Jeszcze kilka rozpaczliwych ruchów. Woda sięga tylko do ramion. Coraz pewniej opieram się stopami o stały grunt, stawiam coraz większe kroki. Brzeg. Jest przeraźliwie zimno. Czuję ogarniający mnie bezwład i przemożne pragnienie choć chwili odpoczynku. Zachwiałem się i upadłem na ziemię. Przyłgnąłem twarzą do powierzchni miążskiego żwiru, który wydał mi się ciepły i przytulny jak aksamit. Fontanna piasku obsypuje mnie i znów wyraźnie słyszę suchy warkot karabinów maszynowych. Tu nie można leżeć – strzelają. Trzeba iść, trzeba zejść z plaży. Jakże ciąży ten pistolet. Wybuchy są coraz bliżej. Zmuszam się do biegu. Kamyki ranią stopy. O, tu lepiej, gładki asfalt jezdni, jeszcze parę kroków... Przede mną otworzyła się nagle bezkresna jasność, w której płynąłem bez żadnego wysiłku. Świadomość tej jasności i jakiejś wielkiej ulgi sprawiła, że moim ostatnim podświadomym uczuciem było zdumienie...

Mała salka, dwa rzędy białych łóżek, na nich jacyś ludzie. Przez uchylone okno wpadały zmieszane głosy: świergot ptaków,

uderzenia młotem, głośny śpiew maszerującego gdzieś wojska. Po zielonym kocu, którym byłem okryty, spacerowała wielka czarna mucha. Przystawała, grzejąc się w słońcu, czyściła nóżkami skrzydła.

Nie chciało mi się zastanawiać, skąd się tu wziąłem. Było tak dobrze, miękko, ciepło. Zamknąłem oczy i biernie poddałem się ogarniającemu mnie bezwładowi. Gdy je znów otworzyłem, na kocu nie było już muchy i złotej smugi słońca, dookoła panował półmrok.

Następnego ranka obudziłem się z uczuciem przejmującego głodu. Śniadanie, które przyniosła siostra, jadłem łapczywie i przyglądałem się mej opiekunce. Miała niemal dziecinną buzię. Gdy się śmiała, na policzkach robiły się dwa dołki. Uśmiechnąłem się do niej. Pogroziła palcem i wybiegła z sali.

Po chwili przyniosła mój pas i kaburę. Otworzyłem ją. Była jeszcze wilgotna. Obok pistoletu niewielka paczuszka zawinięta w ceratę. Ktoś ją już widocznie rozpakowywał, ale wewnątrz niczego nie brakowało. Ułożyłem na kocu legitymację Armii Krajowej i ten mały czarny zeszynek, w którym notowałem moje przeżycia od początku powstania. W legitymacji tekst pisany atramentem częściowo się rozmazał. Zeszynek pisany ołówkiem, chociaż także wilgotny, zachował się o wiele lepiej. Wszystko można było odczytać.

Ten niewielki czarny zeszynek towarzyszył mi potem aż do końca wojny. Był ze mną w pierwszym pułku piechoty, do którego dojechałem przydział zaraz po wyjściu ze szpitala, w Szkole Oficerskiej 1 Armii w Mińsku Mazowieckim, w czasie walk na Wale Pomorskim, w Kołobrzegu, nad Odrą i Kanałem Hohenzollernów, nad Łabą i w Berlinie. Czarna niegdyś okładka stała się szara, a zamokłe kartki pożółkły.

Leży teraz przede mną i podpowiada szczegóły sprzed lat, które zatarły się już w pamięci. Pod niektórymi datami znajduję opisy całych epizodów, pod innymi zaledwie kilka słów, są to jednak słowa, które przenoszą mnie w świat na pozór nierealny.

Przywołują w pamięci tamte obrazy, wzbudzają na nowo uczucia radości i smutku, uniesienia i strachu. Wiele notatek razi dzisiaj naiwnością, wiele śmieszy patosem. Niektóre dygresje nie mają wartości. Nie chcę jednak naruszać charakteru tych zapisków.

Niech przekażą obraz tamtych dni widziany oczyma dziewiętnastoletniego chłopca. Ten może niepełny, nieudolnie oddany, ale prawdziwy, wierny w najdrobniejszym szczególe fragment walki o Warszawę. Niech wśród wielu prac i wspomnień o powstaniu znajdzie się i ta relacja z najniższego szczebla.

Stanisław Komornicki
Podchorąży Nałęcz

Godzina „W”

Oto, co zanotowałem na pierwszej stronie pod datą: *Wtorek, pierwszego sierpnia 1944 roku...*

Wstałem z trema jak przed egzaminem. Z kuchni dolatywały odgłosy codziennej krzątania matki. Przyrządzała śniadanie.

Ubrałem się po cichu. Z kryjówki za książkami wyciągnąłem płócienną torbę po masce przeciwgazowej, chciałem do niej spakować wszystko, co wydawało mi się najniezbędniejsze. Rozkaz otrzymany wczoraj wieczorem, podający godzinę „W”, mówił przecież wyraźnie: „Nie obciążać się zbędnymi przedmiotami, żywności na jeden dzień”.

Jako pierwsza poszła do torby mała lornetka teatralna i plan Warszawy. Potem pół bochenka chleba i mój stary harcerski nóż. Po namyśle dodałem jeszcze parę skarpetek, dwie chusteczki do nosa, bandaż. Zapięta na rzemyk torba powędrowała za szafę, gdzie leżały już buty z cholewami, tzw. saperki, i „wytrzaśnięty” kilka dni temu prawdziwy polski hełm.

Przygotowania ukończyłem w samą porę. Właśnie do pokoju weszła matka, niosąc dymiące kubki i świeże pieczywo. Twarz miała zatroskaną.

– Pij, Stasiu, bo ci ostygnie.

Po śniadaniu długo medytowałem – powiedzieć matce, że idę na powstanie, czy wyjść nie żegnając się. Powiedzieć – a może będzie chciała mnie zatrzymać? Nie powiedzieć – też jakoś głupio. Matka nie ma nikogo poza mną...

Powstanie. To pojęcie przed paroma jeszcze miesiącami ani na jotę nie wykraczało poza świat mej mglistej wyobraźni. Kojarzyło

się ono jakoś automatycznie z wykładami historii naszego starego profesora Dentera, z niezupełnie dla mnie zrozumiałą wizją *Nocy Listopadowej* Wyspiańskiego, z opowieściami ojca i portrecikiem młodego człowieka w konfederatce, z szablą u siodła, jadącego konno przez leśną gęstwinę.

Na wykładach profesora Dentera, jak w ciekawej powieści, akcja rozwijała się poprzez kraje i epoki, zmierzając do szczytu napięcia, do momentu kulminacyjnego, w którym zwierały się wszystkie doświadczenia dziejów. Jaka szkoda, że zakończenie było już z góry wszystkim znane.

Muszę przyznać, że historia w opowieściach ojca różniła się nie tylko od wykładów profesora Dentera, ale i od ówczesnie obowiązującej oficjalnej podręcznikowej wersji. A choć nasz profesor był świetnym pedagogiem i nawet umysły wobec wszelkiej wiedzy najbardziej wstrzemięźliwe potrafił nakłonić do uwagi, przecież zawsze w końcu przechodził, jak mawiał, „do smutnej konieczności stawiania ocen”, a tu potrzebne były nieodmiennie daty, różne „genezy” i „charakterystyki”.

Opowiadania ojca nie miały w sobie nic ze szkolnego wykładu, nic z książkowej martwoty. Królowie, hetmani i wodzowie byli zwykłymi ludźmi, tak bliskimi i znajomymi, że kiedyś rozentuzjamentowanemu malcowi, zasłuchanemu w opowieść o babce Madalińskiej, kurierce Insurekcji, i o Kościuszcze, jak swych kosynierów prowadził na armaty, wymknęło mi się naiwne pytanie: „A ojciec go znalazł?”.

Postacie z rodziny żyły w tych opowiadaniach razem z powszechnie znanymi osobistościami. Pozostała po nich wiejska mogiła, którą co roku jeździliśmy porządkować, jakieś wyblakłe brązowe fotografie, przysłane z dalekiej Syberii, i ów niewielki portrecik Juliusza Kossaka z wizerunkiem dziada Władysława jako adiutanta Kononowicza. To była synteza moich chłopięcych uczuć i wyobrażeń, które stapiały się w słowo „powstanie”.

Matka, choć sama wychowana w kulcie przeszłości i patriotyzmu, nie zawsze pochwalała te nauki ojca. Chciała, abym był od niego praktyczniejszy, pilnowała mojej nauki i przy każdej



Władysław Komornicki, członek stronnictwa czerwonych, adiutant pułkownika Kononowicza, poległ pod Wolą Grabowską 2 VI 1863 roku. Według współczesnego portretu Juliusza Kossaka

sposobności przypominała, że jedynie praca może dać w życiu prawdziwe zadowolenie. Nie były to czcze słowa – sama pracowała ciężko od wczesnej młodości i na jej pracy głównie opierał się nasz domowy budżet. Krytyka ojcowego romantyzmu trwała zresztą tylko do wybuchu wojny. W drugim roku okupacji odprowadziliśmy go do tej samej wiejskiej mogiły, w której od 1863 roku spoczywał dziad Władysław.

Okupacja była dla mnie nie lada szkołą. Wówczas, jak nigdy przedtem, uświadomiłem sobie słuszność matczynych przykazań. Praca, nauka, konspiracja; czy można w tym zamknąć wszystko, co mnie wówczas pochłaniało?

Dziwne, ale im bardziej zagłębiałem się w gąszcz życia, tym bliższa była mi postać ojca, tym lepiej rozumiałem jego słowa, które wracały teraz z głębi pamięci, bynajmniej nie w formie beużytecznej legendy. Raz po raz dostrzegałem w nich głębokie analogie i odnajdywałem praktyczne wskazówki dla siebie. Teraz dopiero zaczynałem rozumieć, czym jest historia...

Czas leciał szybko. Ani się spostrzegłem, gdy wybiła druga, a ja nic nie zdecydowałem.

Długich butów i wiszącego w szafie munduru nie wziąłem. Mógł mi utrudnić dostanie się na miejsce zbiórki. Nie wziąłem też hełmu. Wyciągnąłem zza szafy spakowaną torbę, przewiesiłem przez ramię i poprosiłem mamę, by przyszła na chwilę z kuchni. Gdy weszła do pokoju, pocałowałem ją w rękę i powiedziałem, jak mogłem najspokojniej:

– Idę.

– Dokąd?! – wykrzyknęła matka. Ale przyjrząwszy się mnie i mojej torbie, nie pytała więcej. Broda zaczęła jej drgać, a z oczu potoczyły się łzy. Wtuliłem twarz w jej rękę. Byłem pewny, że teraz właśnie usłyszę głos protestu, więc mimo całego wzruszenia powtarzałem sobie w myślach wszystkie moje argumenty. Gdy jednak usłyszałem jej szloch, zabrakło mi słów. Zdołałem tylko zapytać:



Jadwiga Komornicka, matka kpr. Nałęcza



Kpr. pchor. Nałęcz, Stanisław Komornicki

– Więc mam nie iść?

– Idź.

Zajrzała do mojej torby i w pośpiechu wcisnęła niewielki słoik konfitur. Potem pobiegła do kuchni, jak gdyby szukając czegoś, a po chwili wróciła w żakiecie i w kapeluszu. Zdecydowała się odprowadzić mnie.

Na ulicach, ruchliwych zwykle o tej porze, było dziwnie pusto. To tu, to tam przemykali nieliczni przechodnie. Na placu Wilsona złapaliśmy tramwaj jadący w stronę Śródmieścia. Gdy wsiedliśmy, doleciały nas odgłosy strzelaniny. Pasażerowie, skupiający się głównie na pomostach, wymieniali porozumiewawcze spojrzenia. Chciałem, by matka wysiadła na placu Inwalidów, ale na tym przystanku tramwaj się nie zatrzymał. Przy ulicy Zajączka znów usłyszeliśmy strzały. Na wiadukcie nad Dworcem Gdańskim środek jezdni zatarasowany był przez panterę, której spadła gąsienica. Załoga nie naprawiała jednak uszkodzenia, tkwiąc nieruchomo na stanowiskach bojowych. Lufa czołgu skierowana była w stronę Starego Miasta.

Tramwaj zatrzymał się dopiero na placu Krasińskich. Wysiedliśmy. Ulicą Długą do Starego Rynku nie było daleko. Pozostała mi jeszcze prawie godzina. Skierowaliśmy się do Katedry. Można było wejść tylko do kruchty, gdyż nawę główną odgradzała żelazna krata. Cisza i chłód bijący spod starych łuków gotyckiego sklepienia przywróciły mi spokój. Zauważyłem wtedy mojego przyjaciela Mietka Teisseyre'a z matką. Ucieszyłem się, że i on ma przydział na Starówkę.

Jeszcze ostatni pocałunek i ruszyliśmy w stronę Kanonii, gdzie wyznaczono nam punkt zborny. Gdy skręcaliśmy pod dzwonnice, obejrzałem się. Obie matki szły szybkim krokiem ku Rynkowi.

Dom na Kanonii był cichy, porośnięty czerwieniejącymi pędami dzikiego wina. Nic nie wskazywało na to, że właśnie stąd ma się zacząć nasz „szlak bojowy”. Drzwi były zamknięte. Zapukałem. Po wymianie hasła i odzewu wpuszczono nas do mrocznej sieni. Krętymi schodami zeszliśmy na dół do niewielkiej izdebki zasnutej dymem z papierosów. Była to jakaś nieczynna kuchnia czy pralnia. Zastaliśmy już ze dwudziestu młodych ludzi. Kilku znałem z widzenia.

Każdy odgłos kroków na schodach i otwarcie drzwi witano chwilą głębokiego milczenia. Niektórzy z przybyłych mieli ze sobą broń – przeważnie małokalibrowe pistolety z kilkoma najwyżej nabojami. Ci budzili ogólną zazdrość. Wreszcie zjawił się mężczyzna w długich butach i wojskowym mundurze bez odznak. Oznajmił, że lada chwila przywiozą nam broń i staniemy do walki. Mówił niezbyt składnie. Widać było, że jest zdenerwowany. Przybyły wraz z nim młody ksiądz mógł się poszczycić o wiele silniejszym systemem nerwowym: polecił nam uklęknąć i z całym spokojem udzielił absolutorium *in articulo mortis*. Nagle drzwi się otwały i ktoś zawołał, że wszyscy mają opuścić lokal, gdyż grozi niebezpieczeństwo dekonspiracji. Pakunki osobiste zostawić, powrócić za godzinę, kiedy nastąpi odmarsz.



Chyłkiem pod murami kamienic pobiegliśmy Jezuicką a potem Celną do Brzozowej. Oparci o podcienia starej kamieniczki nasłuchiwalismy. Było spokojnie. Z daleka tylko dolatywały odgłosy strzelaniny. Mietek zrobił dość głupią minę, która miała wyrażać, że nasi organizatorzy tym razem nawalili. Stać bezczynnie na ulicy nie miało najmniejszego sensu. Należało szybko zdecydować, co robić dalej.

– Musimy się przedostać na Kościelną – postanowiłem.

Znajdował się tam lokal konspiracyjny, a w nim skrytka, gdzie przechowywano broń i amunicję. Przychodziliśmy tu nieraz, aby czyścić jakąś większą partię odkopanych naboí. Może coś z tego arsenału jest jeszcze na miejscu. Okazało się jednak, że broń została zabrana. Po dokładnym zbadaniu skrytki znaleźliśmy tylko 400 naboí do „dziewiątki”. Zapakowawszy ten skarb w tekturowe pudełko, wróciliśmy na miejsce zbiórki.

Dom na Kanonii przywitał nas rozwalonymi drzwiami wejściowymi. Z wnętrza dochodziły odgłosy strzałów pistoletu maszynowego. Młody człowiek spotkany na parterze dygotał cały i bełkotał coś niezrozumiale. Schody zasypane był tynkiem i gruzem.

Nagle z wnętrza usłyszeliśmy: „Uwaga, lewa ściana pod ogniem”.

Przylgnąłem do muru. Teraz dopiero spostrzegłem człowieka czającego się u framugi okienka na półpiętrze. Strzelał z pistoletu maszynowego w stronę krzaków na skarpie nad dawnymi koszarami batalionu stołecznego. Co jakiś czas ze ściany na wprost zbi tego okienka sypały się kawałki cegieł. Niemieckie kule trafiały ciągle w ten sam punkt i wyłobiły już spore wgłębienie w murze. Mietek pokiwał głową i gwizdnął przez zęby.

Strzelec przy oknie nic nie wiedział o ludziach, których szukaliśmy. Był pochłonięty walką. Na berecie miał orła, na rękawie biało-czerwoną opaskę.

– Niech ich cholera – zaklął Mietek.

Trudno było przyjacielowi odmówić słuszności. Nasze paczki diabli wzięli, ktoś teraz opychał się moimi konfiturami. Mietek stwierdził, że jest głodny i przypomniał sobie, że na Brzozowej,

koło Kamiennych Schodków, ma znajomego, u którego można się zamelinować.

Po drodze powiedział, że znajomy jest starym kawalerem, który wszystkie swe kapitały włożył w rekonstrukcję zabytkowej kamieniczki. Powstało w niej istne muzeum. Kamieniczkę odbudowano ze wszystkimi skrytkami i tajemnymi przejściami, jakich tu zresztą dawniej nie było.

Na Starym Mieście nigdzie nie jest daleko. Po chwili byliśmy na miejscu. Drzwi wejściowe wyglądały jak furta średniowiecznego zamku. Zaopatrzone były w ciężką ozdobną kołatkę, okute sztabami i gęsto nabijane wielkimi ćwiekami. Po długim i bezceremonialnym łomotaniu usłyszeliśmy wreszcie chrobot klucza. Staroświecka furta uchyliła się, by nas wpuścić do środka, po czym znów zatrzaśnięto ją z hukiem. Otoczyły nas zupełne ciemności.

Dopiero po chwili zabłysła zapalka i migotliwy płomień świecy osłanianej ręką gospodarza rozjaśnił nieco wąski, sklepiony przedsionek i ciemne drewniane schody. Tymi schodami wspinaliśmy się na piętro wśród niemiłosiernego trzeszczenia i skrzypienia wszystkich stopni. Gdy gospodarz otwierał ukryte w grubym murze drzwi, Mietek stuknął mnie w bok i szepnął do ucha:

– Ciekawy typ, nie?

„Typ” był rzeczywiście osobliwy. Nie odezwał się dotychczas ani słowem. Pokój, do którego nas wprowadził, był biblioteką czy pracownią. Jedną ścianę zajmowały półki z książkami, pod innymi stały staroświeckie rzeźbione skrzynie, a na środku ciężki ozdobny stół. Ze ścian spoglądały poczerniałe twarze zbrojnych rycerzy, połyskiwały okrągłe tarcze, półpancerze, klingi porozwieszanych karabeli i krótkie lufy skałkowych króciec.

Gospodarz przyglądał się nam w milczeniu, zakłopotany niespodziewanym najściem. Pierwszy przemówił Mietek, zawiadamiając starego pana, że wybuchło powstanie. Wiadomość została przyjęta obojętnie. Po tym wstępie Mietek przeszedł do przekazywania pozdrowień od rodziny, dał gospodarzowi do zrozumienia, że jesteśmy bez obiadu i że chętnie skorzystalibyśmy

z noclegu. To dopiero wywołało falę popłochu. Mały człowieczek ze świecą w ręku długo toczył wewnętrzną walkę, nim wreszcie ruszył na poszukiwanie gospodyni. Po jego wyjściu Mietek roześmiał się; podszedł do ściany i stuknął palcem w okrągły puklerz, który wydał głęboki dźwięk.

– Może z braku innej broni weźmy chociaż po szabelce?

Stary wagowy zegar zaczął właśnie wydzwaniać kuranty, gdy wrócił wzburzony gospodarz. Oświadczył, że stało się coś niepojętego. Gospodyni wyszła, nie mówiąc dokąd.

Coraz bardziej zdenerwowany, zaprowadził nas do kuchni i zabrał się do przyrządzania jajecznicy. Widząc, jak nieudolne są jego wysiłki, zaofiarowaliśmy swą pomoc. Nie chciał na to przystać i kolacja była bardzo mizerna.

Gospodarz jeszcze długo bawił nas rozmową. Mówił o rzeczach, które były dla nas obecnie całkowicie obojętne, i w końcu z trudem powstrzymywaliśmy ziewanie. Spostrzegł to wreszcie. Zaraz po jego wyjściu zapadliśmy w głęboki sen – ja na kozetce, a Mietek na dwóch zsuniętych fotelach.

Środa

Obudziło mnie gwałtowne łomotanie. Czyżby Niemcy?

– Mietek! – zawołałem zduszonym głosem, ale odpowiedzią było tylko chrapanie. Potykając się w ciemnościach, dobrnąłem do jego legowiska.

– Mietek – szarpnąłem go za ramię.

– No?

– Słyszysz? Niemcy! Jest tu jakieś drugie wyjście? Zerwał się, zaczęliśmy szukać drzwi, macając po ścianach. Mietek zawadził o jakiś obraz, który runął na podłogę z piekielnym hałasem.

Drzwi otworzyły się. Stał w nich gospodarz ze świecą w ręku, kompletnie ubrany i z głową okręconą ręcznikiem.

– Chcą się wdrzeć do mojego domu – zawołał. – Grożą, że wysadzą drzwi... O, słyszycie? Co robić?!